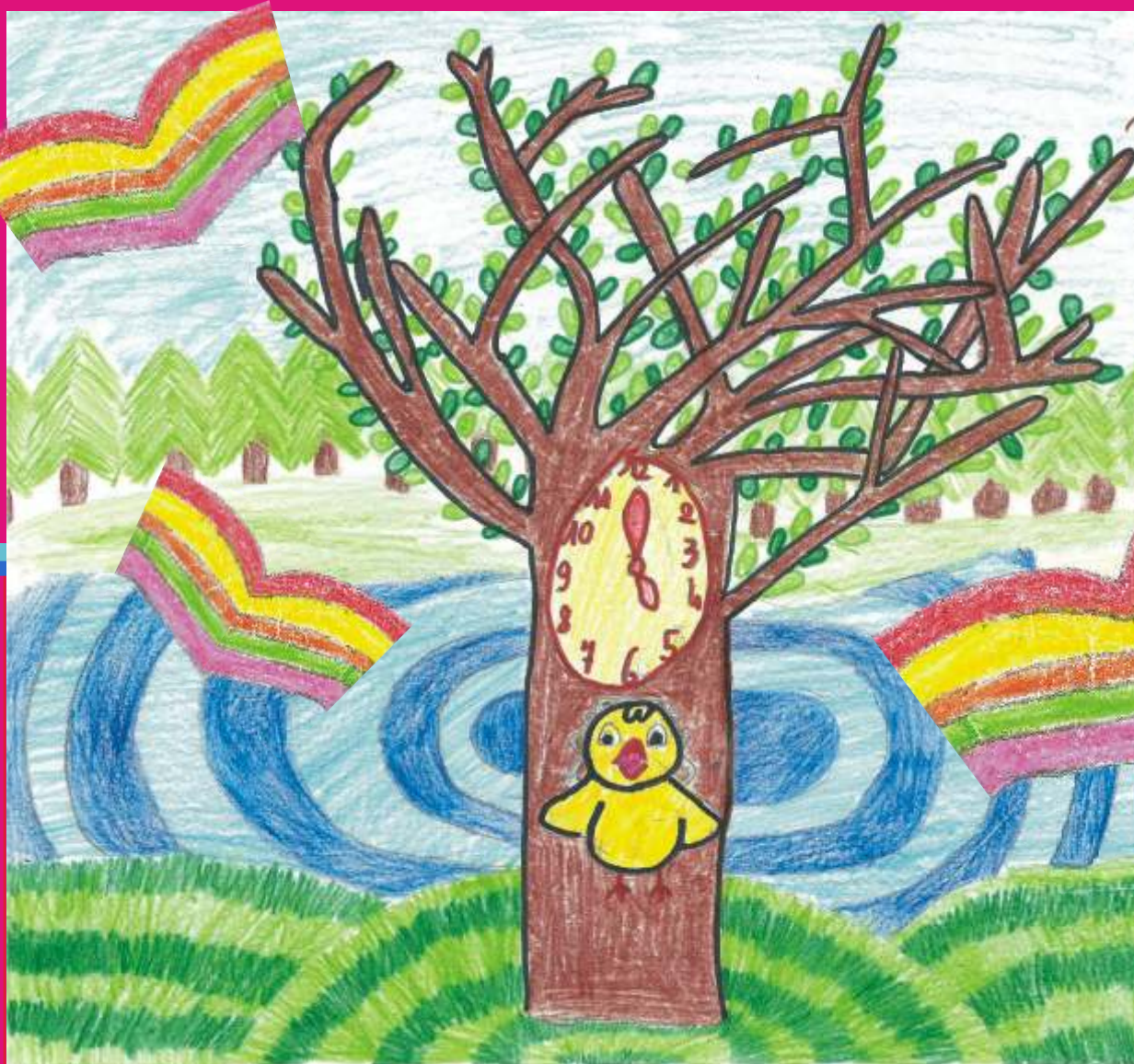




Pora na bajkę znad jeziora



Olsztyn 2015

Pora na bajkę znad jeziora

Teksty i ilustracje młodych czytelników z Warmii i Mazur

Redakcja
Marek Samselski

Sfinansowano ze środków
Samorządu Województwa Warmińsko-Mazurskiego



Pora na bajkę znad jeziora

Teksty i ilustracje: młodzi czytelnicy z Warmii i Mazur

Redakcja: Marek Samselski

Ilustracja na okładce: Oliwia Samselska



ISBN 978-83-932540-2-6

Wydawcy:

© Wojewódzka Biblioteka Publiczna
im. Emilii Sukertowej-Biedrawiny
w Olsztynie

ul. 1 Maja 5, 10-117 Olsztyn, tel.: 89 524 90 32
fax: 89 524 90 32, e-mail: wbp@wbp.olsztyn.pl
www.wbp.olsztyn.pl

© Fundacja Alternatywnej Edukacji „ALE”

Zydzrojowy Piecek 14, 11-710 Piecki
tel.: +48 660 739 028, e-mail: allemanska@gmail.com
www.alefundacja.pl

Prezentujemy bajki, których autorami są dzieci. One też wykonały ilustracje. Jest jasne, że nie tylko dzieci, ale też dorośli chętnie czytają bajki, więc są dla każdego. Wyobrażam sobie, jaką radość ta książka przyniesie autorom. Pięknie jest znaleźć w książce własną bajkę. Gratuluję ogromnej wyobraźni i inwencji wszystkim młodym i bardzo młodym twórcom. Życzę Wam jak najwięcej bajecznych chwil w życiu.

Marek Samselski



Po co nam bajki?

Wielu rodziców i nauczycieli zastanawia się, w jaki sposób zachęcić dzieci i wychowanków do samodzielnego czytania. Codzienne czytanie zaspokaja najważniejsze potrzeby emocjonalne dziecka - miłości, uwagi, stymulacji, rozwija słownictwo, logiczne myślenie, poprawia koncentrację, ćwiczy pamięć, daje wiedzę ogólną, pomaga rozwijać zainteresowania.

Jedną z wielu zalet czytania jest wartość terapeutyczna czytanych tekstów. Bajka uruchamia wyobraźnię, pomaga w pozbywaniu się lęków, wzmacnia charakter. Pokazuje, że można pokonać zło, a dobro - choć czasem po wielu trudach - jednak zwycięża. Bajka zostawia morał, dzięki któremu na dłużej zostaje w pamięci i daje możliwość głębszej refleksji. A gdyby tak dzieci nie tylko słuchały i czytały bajki, lecz również spróbowałyby je same układać...

Marek Samselski, autor bajek, piosenek, rebusów i zagadek dla dzieci, doszedł do wniosku, że warto byłoby o tym z nimi porozmawiać. Bo któż inny może lepiej wiedzieć, co one aktualnie przeżywają, czują, co je smuci, a co śmieszy, daje radość? I tak powstał pomysł twórczych warsztatów, czyli wspólnego układania bajek z dziećmi. Z tym że to one są autorami - wymyślają bohatera, miejsce akcji, treść, szczęśliwe zazwyczaj zakończenie. Prowadzący jest tylko „panem redaktorem”, który bajkę zredaguje. A dzieci uczestnicząc w akcie tworzenia, znajdują sposób na uzewnętrznianie siebie, na formę komunikowania się ze światem, w tym również z dorosłymi.

Pierwsze takie warsztaty odbyły się kilka lat temu podczas współpracy Marka Samselskiego z Piotrem Zworskim, producentem i dziennikarzem stacji TVN24. Wcześniej była realizacja płyty

Przystanek bajkowego autobusu z udziałem Piotra Fronczewskiego. Potem powstały nagrania bajek ułożonych podczas warsztatów w Akademii Dzieci Ciekawych Świata w podwarszawskiej Kobyłce. Odbyła się też wizyta z bajką u chorego Tomka w Centrum Zdrowia Dziecka, pokazana przez stację TVN24. Przy tej okazji na apel rzecznika CZD o przysyłanie bajek rodzinnych przyszło ponad 1000 tekstów z całej Polski.

Twórcze warsztaty nabrały rozgłosu. Marek Samselski wzbogacił je poznawaniem wartości słów dzięki zabawie w rozwiązywanie autorskich kalamburów i rebusów. Realizował je w szkołach, bibliotekach, domach kultury, przedszkolach, podczas rejsu dzieci z domów dziecka po jeziorach mazurskich, w parku w Żelazowej Woli.

Poważnie o bajkach debatowano na sympozjum poświęconych bajce terapeutycznej. Spotkanie to było częścią projektu, w ramach którego Wojewódzka Biblioteka Publiczna w Olsztynie wydała książkę *Baju baj patataj* autorstwa Marka i Sylwii Samselskich. Uczestnicy sympozjum burzą oklasków nagrodzili dzieci, wykonawców inscenizacji bajek. Projekt ten sfinansowało Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Efektem spotkań warsztatowych prowadzonych w warszawskich szpitalach była książka *Zdrowa porcja bajek*, sfinansowana przez Biuro Kultury warszawskiego Ratusza; a cyklu spotkań na warszawskiej Pradze - zbiór bajek *Targówek pełen słówek*. Wszystkie bajki i rysunki są autorstwa dzieci - uczestników zajęć.

Kolejnym zbiorem bajek jest właśnie niniejszy. Są tutaj bajki i ilustracje, które powstały podczas warsztatów pod hasłem „I ty możesz zostać bajkopisarzem” prowadzonych przez Marka Samselskiego w bibliotekach, a także przedszkolach i szkołach na terenie Warmii i Mazur. Są - warte propagowania - bajki rodzinne; trzy układane poobiednią porą w domach autorów, a jedna w olsztyńskiej bibliotece „Dziewiątce”, gdzie z młodymi autorami układali wspólnie ich babcie i dziadkowie. Wszyscy uczestnicy otrzymali po zajęciach wydrukowany tekst na arkuszach A4, a każdy z nich otrzyma egzemplarz książki, a w niej też bajkę, której jest współautorem.

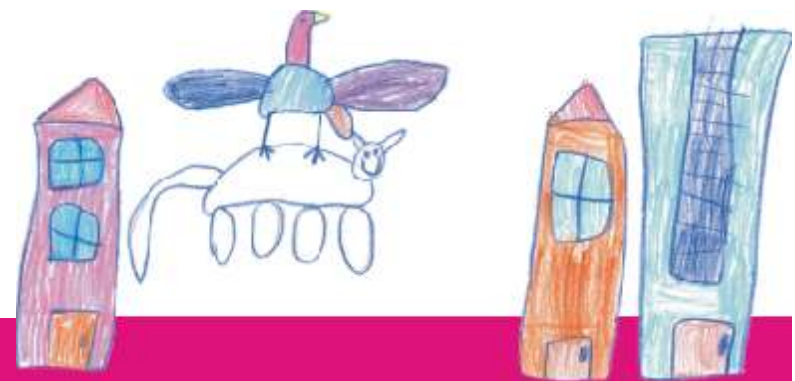
Wydanie książki *Pora na bajkę znad jeziora* wspomogła Fundacja Alternatywnej Edukacji ALE, z której inicjatywy uczestnicy zajęć spotkają się z Bajką Ożywioną, czyli inscenizacją własnych bajek w wykonaniu uczniów ze szkoły w Pieckach.

Wszystkim Autorom i Czytelnikom życzę miłych wrażeń przy lekturze tej książki.

Anna Szok
Koordynator warsztatów



Pora na bajkę znad jeziora



Samotna kotka Anastazja



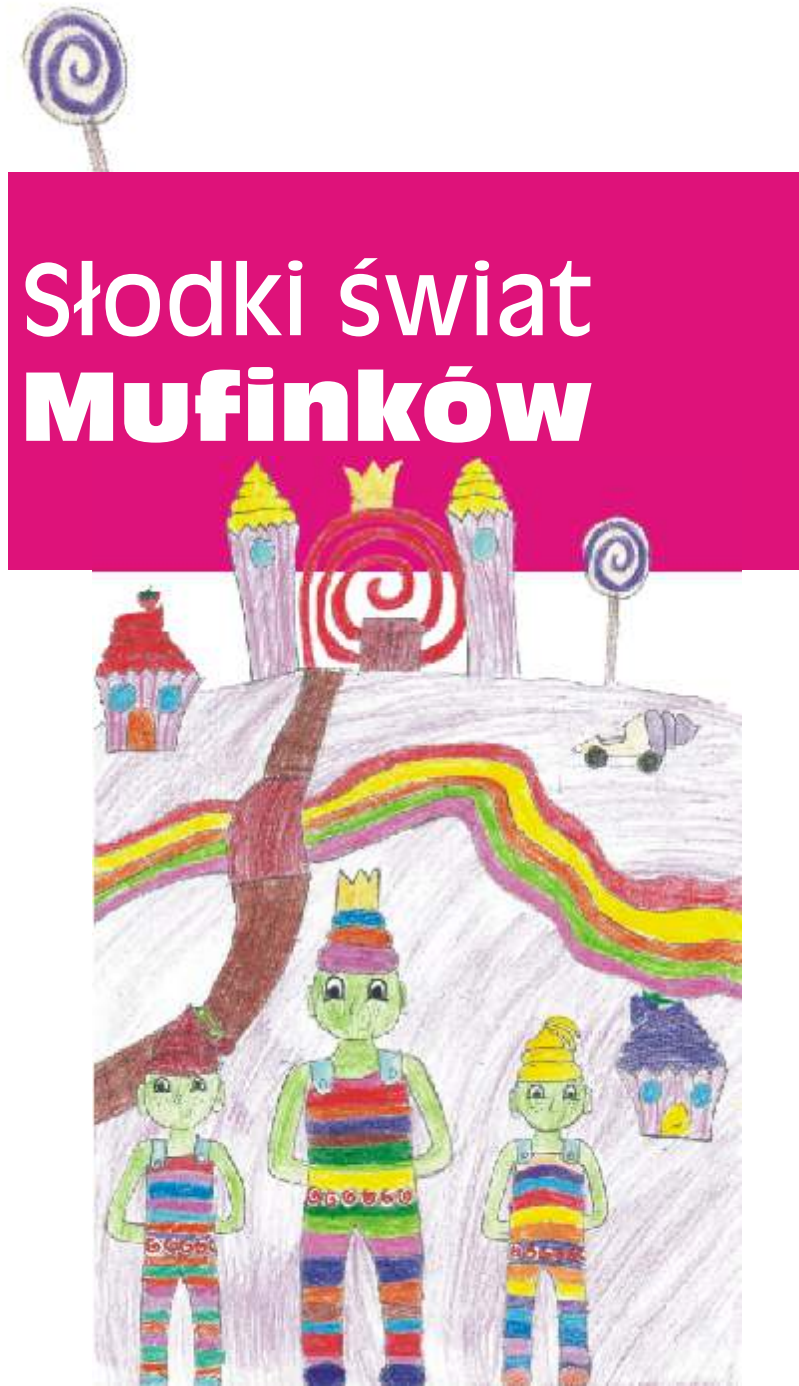
Gdzieś daleko w Górach Zamglonych, na Polanie nad Strumykiem mieszkał sobie kotek. Miał na imię Anastazja, a więc była to kotka. Anastazja wyróżniała się wśród innych kotków tym, że była cała biała. Jednak właściwie to się nie wyróżniała, gdyż nad strumykiem więcej kotków nie było. Rodzice Anastazji w tajemniczy sposób zginęli, a ona została sierotką samotką. Oczywiście miała przyjaciół, którzy chętnie przynosili jej jedzenie, kiedy sama nie potrafiła upolować myszy, albo też czasem wpadali na pogawędkę. Były to ptaszki, kreciki, a czasem wiewiórki. Szczególnie jedna wiewiórka o imieniu Amma lubiła wpadać do jamki Anastazji na pogawędkę. Ostatnio zastanawiały się, dlaczego wszystkie zwierzęta mieszkające na Polanie nad Strumykiem mają imiona rozpoczynające się od litery „A”. Odpowiedzi jednak nie znalazły, więc pozostaje to tajemnicą.

Pewnego razu, zupełnie niespodziewanie, tuż obok wygrzewającej się w słońcu Anastazji wylądował orzeł Albin. Był zupełnie biały, tak jak samotna kotka. Może dlatego dobrze im się rozmawiało i kiedy orzeł dowiedział się, że kotka jest samotniutką na Polanie nad Strumykiem, zaproponował jej podróż do pełnego polnych myszy wielkiego parku pod Paryżem. Tak, pod prawdziwym Paryżem, w prawdziwej Francji. W tym parku mieszkała kotka w kolorze czarnym z fioletowym pyszczkiem o imieniu Plitwa. Miała ona brata o imieniu Puson, który był samotnikiem, podobnie jak Anastazja. Orzeł powiedział, że warto, by odwiedziła park pod Paryżem, bo na pewno zaprzyjaźni się z rodzeństwem kotków, no i przestanie cierpieć na kocią samotność. Akurat nadbiegła wiewiórka Amma i usłyszała propozycję orła. Westchnęła, że ona też wybrałaby się w daleką podróż, ale nie jest przecież taka znowu samotna, bo mieszka tu dużo rodzin wiewiórek. A jeśli Anastazja ma możliwość poznania innych kotków, a nawet zamieszkania, to musi koniecznie tam polecieć. Może uprzejmy orzeł przyleci jeszcze tutaj w Góry Zamglone i pomimo częstych mgieł wypatrzy tutejszy strumyk, przysiądzie sobie znowu na chwilkę i zaproponuje wiewiórcę podróż do parku pod Paryżem? Amma powiedziała, że bardzo by ją to ucieszyło, a jeśli nie będzie chciał jej zabrać, to prosi o zdjęcia z parku, gdzie zamieszka Anastazja.

Orzeł Albin pokiwał głową i przyrzekł, że na pewno tu jeszcze przyleci. A tymczasem zaprosił kotka na pokład samolotu, czyli na swój grzbiet. Anastazja mocno wyściskała się z Ammą i poprosiła, by wiewiórka pozdrowiła wszystkich wspólnych znajomych. A potem wyruszyła na spotkanie z kotkami.

Emilka, Staś i Bartek Lemańscy z rodzicami

Targowo, 2015 r.



Słodki świat Mufinków

W starym parku, tam gdzie chodzi mało ludzi, stoi wielkie, stare drzewo. Jest to bardzo tajemnicze drzewo, bo w jego pniu znajduje się świat Mufinków. Są one małe jak ziarenka grochu, jednak gdy wychodzą z dziupli starego drzewa, osiągają nawet pół metra wysokości. Mają postać ludzi z twardej, kremowej masy, a ich ubrania przypominają kombinezony skoczków narciarskich w tęczy kolorach. Zamiast włosów na głowach noszą coś na kształt kasków, a jest to bita śmietana. Cały ich świat, ukryty w pniu starego drzewa, jest słodki. Co i rusz wyrastają w nim, niczym kolorowe grzyby, kremowe babeczki, a wokół roznosi się zapach wanilii i migdałów. Mufinki wychodzą do parku tylko pod osłoną nocy, gdyż ludzie, zobaczywszy je, natychmiast by je uwięzili i pokazywali w telewizji jako niesamowite dziwolagi jakieś.

Pewnego dnia w pobliże starego drzewa zapędził się piesek Dobi, a za nim przybiegła dziewczynka o imieniu Frania. Dobi zainteresował się starym drzewem, gdyż był wielbicielem słodczy i kiedy poczuł przyjemne, słodkie zapachy, udało mu się wsadzić do dziupli swój wścibski nos. No i po prostu znikł. A kiedy Frania też zajrzała do dziupli, znikła ze świata parku i znalazła się w świecie Mufinków, równie mała jak one i jej Dobi, pomniejszony do wielkości ziarenka grochu. Wizyta niespodziewanych przybyszów wywołała wielkie przerażenie wśród Mufinków. W końcu ich przywódca pierwszy doszedł do siebie i oznajmił, że chyba nikt tu nikomu krzywdy nie chce zrobić. A jego rodzinka, czyli Mufinki, boją się czegoś innego. Oto dowiedzieli się od sroki donosicielki, że stara część parku ma być zniszczona i zamieniona na parking przy nowym centrum handlowym. Wycinanie drzew ma się rozpocząć jutro!

Usłyszawszy to, Frania bardzo zmartwiła się i zaproponowała, że zabierze Mufinki do siebie, do domu na skraju parku. Mogą tymczasem zamieszkać w ogrodzie. Zapadał już zmierzch, opuścili stare drzewo, dziewczynka i pies wrócili do swoich wymiarów, a Mufinki wyglądały jak malutcy skoczkowie narciarscy. Frania poprosiła, żeby szli jak nakręcane mechaniczne zabawki, wtedy nikt nie pomyśli, że to prawdziwe Mufinki. Kiedy dotarli do domu, mama najpierw się przerażała, a potem zaproponowała gościom coś słodkiego na kolację. A kiedy wrócił tata, zapanowała wielka radość, bo powiedział, że nikt nie ma zamiaru niszczyć starego parku. Sroka donosicielka coś usłyszała, a źle rozumiała. Park będzie odnowiony, będą w nim nowe alejki, na szczęście żadna nie jest projektowana w pobliżu starego drzewa. Nie powstanie centrum handlowe, gdyż mieszkańcy podpisali wielki protest. Radość Mufinków uciszała mama Frani, bo przecież musiały niezauważenie wrócić do swojego słodkiego świata.

Oliwka i Piotrek Samselscy z rodzicami

Szczytno, 2015 r.



Jak śmiech pokonał wojowników Deklów

Dawno, dawno temu, gdzieś na skraju puszczy mieszkało niewielkie plemię Ogaoga. Przywódcą tego plemienia był Kardjasz, odważny myśliwy. Pewnego razu przyszedł do niego przywódca rudych wilków o imieniu Konor. Tak, to nie pomyłka, Konor był rudym przywódcą rudych wilków, a nie lisów. Rude wilki były szczególnym stadem, nie dość, że łagodne z charakteru, to jeszcze potrafiły porozumieć się z ludźmi. No więc Konor przyszedł do Kardjasza z wiadomością o wyprawie wojowników plemienia Deklów. To plemię już wcześniej starało się nękać spokojnych mieszkańców z plemienia Ogaoga. Ale tym razem szli uzbrojeni w długie włócznie i mieli ochotę na ostateczną rozprawę. Kardjasz wiedział, że jego plemię nie obroni się przed włócznieami agresorów za pomocą tradycyjnej broni. Walka wręcz też z góry była skazana na przegraną, ponieważ Ogaoga nie było ani liczne, ani szczególnie uzbrojone. Poszedł więc Kardjasz pod kamienne drzwi wielkiej groty, w której podobno ukryta była broń potrafiąca pokonać każdego przeciwnika. U drzwi groty ukazał się ni to duch, ni to prawdziwy wielki dzik o imieniu Ceberus. Ten dzik wiedział, po co przyszedł przywódca plemienia Ogaoga. Powiedział, że kamienne drzwi groty staną otworem, jeśli Kardjasz przyniesie z pobliskiego jeziora tyle wody w liściu klonu, żeby zappełnić glinianą miseczkę, przymocowaną właśnie do drzwi. Kardjasz pobiegł z liściem klonu do pobliskiego jeziora, a z powrotem szedł lekko i wolniutko, prawie unosząc się nad ziemią. Oczywiście nie chciał uronić ani kropli wody z niesionego liścia. No i udało mu się donieść tyle wody, żeby zappełnić miseczkę po brzegi. Ceberus wypowiedział wtedy jakieś absolutnie niezrozumiałe słowa i kamienne wrota rozwarły się z łoskotem. A w wielkiej grocie Kardjasz zobaczył... gliniane dzbany z wodą. Nie było żadnych mieczy, zbroi ani włóczni; były za to jakieś dziwne trąby. Ceberus uśmiechnął się tajemniczo i oznajmił, że w dzbanach znajduje się woda-śmiechoda, mająca piorunujące właściwości rozweselające. A te trąby to śmiechawki i śmiechoplujki. One będą orężem, którym plemię Ogaoga może pokonać wojowników Deklów. I tak się stało - oto całe plemię Ogaoga stanęło w jednym szeregu i, nabrawszy śmiechodę w usta, dęło co sił w trąby. Nadchodzący wojownicy Deklów padli jak jeden mąż i skrećali się tak długo ze śmiechu, że odeszła im ochota na walkę i chcieli już tylko do domu. Pomogły im w tym rude wilki, które usłużnie zatargały wojowników aż do ich osady. Wróciwszy, wilki przyniosły dobrą wiadomość - oto plemię Deklów zrezygnowało z jakichkolwiek ataków na plemię Ogaoga.

Uczniowie SP nr 4 w Giżycku

Miejska Biblioteka Publiczna w Giżycku, 2014 r.



O tym, jak wielki **Bakar** zaprzyjaźnił się z małą Łatką

Na skraju niedużego miasta, w jednym bloku na osiedlu mieszkali pies Bakar i kotka Łatka. On był wielkim rudawym owczarkiem niemieckim z czarną łatą na grzbiecie, a ona miała białą sierść z rudą łatką przy prawym uchu. Właścicielem Bakara była Hania, a Łatki - Darek. Chłopiec i dziewczynka znali się i lubili, chodzili do tej samej szkoły podstawowej, a uczyli się w różnych klasach. Bakar i Łatka też się znali, ale nigdy razem się nie bawili. Bardzo często rozmawiali na odległość, kiedy wygrzewali się w słońcu, każde na innym balkonie. Bo mieszkania Hani i Darka znajdowały się obok siebie na tym samym, drugim piętrze. Darek jednak nigdy nie wypuszczał Łatki na spacer. Obawiał się, że kocim zwyczajem pójdzie sobie jakąś własną ścieżką i nie wróci. Tak więc zwierzęta nigdy nie miały okazji razem się pobawić.

Pewnego słonecznego popołudnia Bakar i Łatka rozmawiali sobie jak zwykle na odległość, gdy nagle Łatka wpadła na pewien śmiały pomysł. Bo oto pomiędzy balkonami rodzice Hani i Darka rozwiesili sznurek, na którym suszyło się pranie. Kotka obwieściła Bakarowi, że zaraz u niego będzie i nareszcie wspólnie się pobawią. Kiedy była w połowie drogi, niespodziewanie straciła równowagę i spadła na ziemię. Oczywiście na cztery łapy, jak to kot, i nic jej się nie stało. Ale nie było sposobu, żeby wrócić do domu. Cierpliwie więc czekała na okazję. No i taka okazja zdarzyła się, kiedy Hania wyszła z Bakarem na spacer. Łatka podbiegła i Hania domyśliła się, że kotka spadła z balkonu. Wzięła ją na ręce, obawiając się ataku Bakara. Oczywiście zupełnie niepotrzebnie się obawiała, gdyż wielki Bakar i mała Łatka często ze sobą rozmawiali i od dawna mieli ochotę, żeby się bliżej zaprzyjaźnić i wspólnie pobawić. Tymczasem okazało się, że nie ma w domu Darka ani jego rodziców, więc Hania zamknęła Łatkę w swoim pokoju. Miała w nim poczekać i być bezpieczna, bo przecież Bakar mógłby ją zaatakować. Na szczęście drzwi nie były zamknięte na klucz, Łatka podskoczyła do klamki i miała wolną drogę na balkon. Hania próbowała ją złapać, ale kotka jednym susem znalazła się na balkonie, a drugim susem wskoczyła na grzbiet Bakara. Dziewczynka patrzyła na to z przerażeniem, ale za chwilę z wielkim zdziwieniem zobaczyła, że wielki Bakar szczyrzy swoje zęby... w uśmiechu. Wyraźnie był bardzo zadowolony i wcale nie warczał ani kłapał kłami ze złości. A Łatka zbliżyła pyszczek do jego lewego ucha i coś tam mu mruczała. Hania pomyślała, że pewnie proponuje mu wspólne spacerować. No i kiedy wrócił Darek, namówiła go na wspólne wychodzenie ze zwierzętami do pobliskiego parku. Ten pomysł bardzo, bardzo ucieszył Bakara i Łatkę.

Najmłodsi czytelnicy biblioteki

Miejska Biblioteka Publiczna w Lubawie, 2015 r.

[illegible]

Następnego dnia rano babcia Matylda z Kasią zobaczyły skorupy rozbitego dzbanu. Zaczęły je zbierać i nagle Kasia zauważyła coś bardzo błyszczącego. Podniosła i... okazało się, że jest to złoty klucz! Do jakiego zamka mógł być ten klucz? Pokazały go dziadkowi Stasiowi i cała rodzinka doszła do wniosku, że musi on być od starej szkatułki, tej na strychu. Była na nim stara szafa, a w niej powinna być szkatułka, której nikt nie potrafił otworzyć. Poszli więc wszyscy na strych, oczywiście kotek Psotek też. I kiedy nikt nie mógł odnaleźć szkatułki, Psotek wskoczył na półkę ze starymi swetrami i niechcący ją zrzucił. Dziadek Staś uroczyście wsunął klucz w zamek i szkatułka została otwarta. A w niej skarby! Złoty ząb, naszyjnik z diamentami i rubinami, kłębek włóczki ze złotą nitką i przepis na pierniki w kształcie gwiazdek i śnieżynek. Tego przepisu od pięćdziesięciu lat szukała babcia Matylda. „Za niektóre z tych skarbów na pewno będzie można wyremontować domek i jeszcze kupić jakiś samochód”, pomyślał dziadek Staś. A babcia Matylda powiedziała: - Żeby znaleźć trochę złota, trzeba mieć psotnego kota. - I pogłaskały z Kasią czule Psotka.

Najmłodszy czytelnik z babcią i dziadkami
Miejska Biblioteka Publiczna w Olsztynie, Filia nr 9, 2015 r.



Tomek i magiczny kamień

W pewnym podgórskim miasteczku mieszkał Tomek. Chodził do piątej klasy i właśnie siedział na lekcji, trochę się nudząc. Patrzył w okno na drzewa pobliskiego lasu, którego liście mieniły się jesiennymi kolorami. Nagle zauważył tajemniczą postać. Wyteżył wzrok i..., tak, to był niedźwiedź. Od dawna chodziły słuchy, że po lesie grasuje wielki miś, który sieje strach wśród okolicznych mieszkańców. Ale ten niedźwiedź wcale nie był duży. To był niedźwiadek. Tomek podniósł rękę i powiedział, że bardzo go rozboleł brzuch. Pani powiedziała, że może pójść do domu, bo rzeczywiście wygląda na nieco chorego. A Tomek natychmiast popędził do domu, wziął swojego ukochanego psa Sonię i wyruszyli razem do lasu. Szybciutko podbiegła do nich wiewiórka, ruda oczywiście, ale miała niebieski koniuszek ogona. I właśnie tym niebieskim koniuszkiem pokazała kierunek pomiędzy drzewami, machając w tę stronę łapką. Tomek ruszył, ale wyprzedziła go Sonia. Za chwilę chłopiec ujrzał leżącą postać. Nie był to niedźwiedź, tylko jego dziadek Zenek. Mieszkał w domu na leśnej polanie, a teraz bezradnie patrzył na swoją skaleczoną rękę. Czy napadł go niedźwiedź? Nie, to dziadek tak się zamachnął siekierą, że skaleczył się sam. Na szczęście Tomek umiał opatrywać rany, a dziadek Zenek zawsze miał małą apteczkę. Wnuczek pomógł swemu dziadkowi i powiedział, że idzie dalej na poszukiwanie misia. Kiedy zastanawiał się, w którą stronę iść, nagle ujrzał leżący na mchu piękny, niebieski kamień. Podniósł go, a kamień zaczął świecić żółtym blaskiem. Ruszył dalej i kamień przestał błyszczeć. Ruszył w inną stronę i kamień znowu pojaśniał. Kamień ma magiczną moc i pokazuje drogę! I rzeczywiście, szybko trafili na niedźwiadka, który był na pewno głodny. Sonia poprowadziła całą trójkę do domu dziadka Zenka na leśnej polanie, który na nich czekał. Powiedział, że zaopiekuje się misiem i pomoże mu przetrwać zimę. I dał mu na imię Antoś, bo zawsze chciał mieć syna o takim imieniu. A Tomek wrócił z Sonią do domu i kiedy zapadł zmrok, poszedł ukryć swój skarb - magiczny kamień w dziupli drzewa na skraju lasu.

Najmłodsi czytelnicy biblioteki

Miejska Biblioteka Publiczna w Działdowie, 2015 r.



Ludek i śmiech, oraz mały pech

Gdzieś na orbicie okołoziemskiej albo jeszcze dalej, krążyła sobie stacja kosmiczna. Na jej pokładzie już trzy miesiące mieszkało trzech astronautów. Pewnego razu zdarzyła się rzecz niezwykła, po prostu niesamowita. Oto astronauta usłyszeli pukanie, spojrzeli w okno i ujrzeli ufoludka! Pukał w okienną szybę i jedną z czterech swoich długich łapek pokazywał, że chce wejść do środka. Oniemiali astronauta nie mogli poruszyć się ze zdziwienia, aż zobaczyli, jak ufoludek zwyczajnie z nich się śmieje. Miał żółtą głowę ze szparkami zamiast oczu, otwór w miejscu ust, no i trzymał się czterema długimi łapkami za niebieski blaszany brzuch. Cały wyglądał jak z blachy. Wreszcie któregoś z członków załogi poruszył się, za nim pozostali, no i kosmiczny gość został wpuszczony do środka. Wtedy astronauta zobaczyli, że ufoludkowi za nogi służy sprężyna. Teraz zauważyli, że miał brązowe uszy, a z jednego z nich wystawała antenka, bardzo jakoś pokręcona. Niesamowity gość pośmiał się jeszcze trochę - cha, cha, cha, cha.

- On wyraźnie śmieje się z nas. I to jakby w ludzkim języku - krzyknął jeden z astronautów. - Czy znasz nasz język? - zapytał.

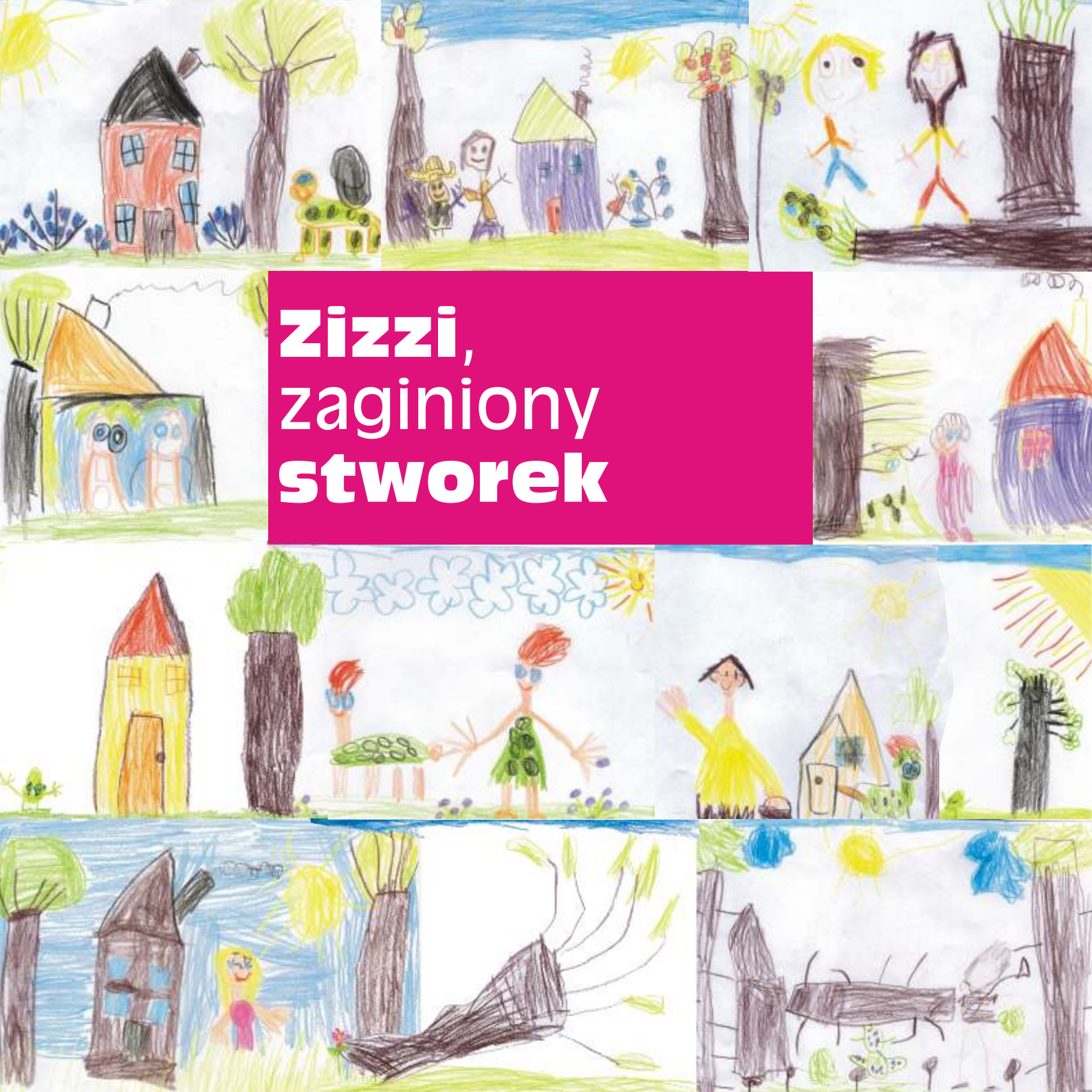
- Tak - odpowiedział przybysz. - Nauczyłem się na wypadek spotkania. Właśnie miałem wypadek, to znaczy złamałem antenkę i rozregulowała mi się sprężyna. Czy moglibyście mi pomóc i naprawić te moje kontuzje?

Astronauta oczywiście zgodzili się. Na szczęście mieli na pokładzie statku odpowiednie narzędzia. Naprawa poszła szybko, a astronauta zadali ufoludkowi mnóstwo pytań: Skąd przybył? Czy duża jest jego rodzina? Czy był kiedyś na Ziemi? Ale ufoludek był bardzo tajemniczy i niczego się nie dowiedzieli. W końcu zapytali, dlaczego tak się śmiał i czy często jest wesoły? A ufoludek na to, że wyglądali bardzo śmiesznie, kiedy znieruchomieli na jego widok. Astronauta nazwali go Śmiecholudkiem, a jeden z nich powiedział, że zrobi mu zdjęcie. Lampa błysnęła, ale na zdjęciu nie było kosmicznego gościa.

- Tak w ogóle to jestem niewidzialny, tylko wy mnie widzicie. A teraz wypuście mnie. Wpadnę do was, zanim wrócicie na Ziemię - powiedział Śmiecholudek. Astronauta wypuścili go i za chwilę całą stacją strasznie zatrzęsło. To Śmiecholudek użył swojej naprawionej sprężyny do odbicia się, by odlecieć.

Grupa przedszkolna Śmiecholudki

Akademia Prymusa w Olsztynie, 2014 r.



Zizzi, zaginiony stworek

W Zielonym Lesie mieszkał sobie dziadek Franek z babcią Olą. Mieszkali w małej leśniczówce, która z daleka wyglądała jak chatka. Dziadek Franek wcale nie wyglądał jak starszy pan, ale miał wnuki, więc wszyscy nazywali go dziadkiem. Tak nazywała go też babcia Ola, która nie wyglądała jak starsza pani. Pewnego razu nad Zielonym Lasem przeszła straszna burza. Grzmiało, wiało i błyskało przez całą noc. Rano dziadek Franek wyszedł zobaczyć, jakie szkody wyrządziła wichura i pioruny. Zobaczył powalone drzewa, a spod jednego z nich usłyszał wołanie o pomoc. Jakoś dziwnie brzmiało to wołanie. Podeszedł bliżej i zobaczył stworka uwięzionego pod leżącym konarem. Ten stworek mógłby być zwierakiem, ale żaden zwierz nie miał takich wielkich niebieskich oczu, słodkiego pyszczka, no i nie mówił ludzkim głosem! Dziadek Franek użył całej swojej siły, by uwolnić stworka spod zwalonego konaru.

- Dziękuję, bardzo dziękuję - powiedział stworek. - Nazywam się Zizzi i niechący przybyłem tutaj na chmurze - poinformował.

- Ja nazywam się dziadek Franek, to znaczy Franek - odpowiedział ciągle zdumiony leśniczy, przyglądając się zielonemu stworkowi, który miał pancierz na głowie i grzbiecie nakrapiany czarnymi kropkami, krótkie łapki i nieco dłuższe nóżki.

Zizzi powiedział dziadkowi, że przybył z dalekich i wysokich gór i żyje tam ze swoją rodziną, do której tęskni. Niechący wsiadł na chmurę, no i w ten sposób przybył aż nad Zielony Las. Nikt z ludzi nie wie o istnieniu rodziny Zizziego, a dziadek Franek obiecał nikomu nie mówić, chyba że swojej rodzinie. Umówili się, że Zizzi zamieszka w leśniczówce, gdyż nie bardzo wiedział, jak wrócić do swoich bliskich. Obiecał, że może odwzajemnić się za gościnę, tylko nie wie jak. A dziadek Franek na to, że mógłby pomóc zbierać jagody, gdyż obiecał babci Oli, że nazbiera jagód na naleśniki z jagodami i tort jagodowy, specjalnie na swoje urodziny i przyjazd wnuków. Zizzi bardzo ucieszył się z tej propozycji, gdyż był mistrzem w zbieraniu jagód. Nigdy nie próbował naleśników z jagodami ani tortu, więc już zacierał łapki na myśl o czekającej go uczcie. Powiedział, że jego rodzinka na pewno już rozpoczęła poszukiwania, a w dzisiejszych czasach nie jest tak trudno znaleźć zagubionego, gdyż są przecież satelity i takie różne specjalne urządzenia. Chciałby jednak być odnaleziony po urodzinach dziadka Franka. Jest przecież zaproszony!

Grupa przedszkolna IV

Miejskie Przedszkole nr 20 w Olsztynie, 2015 r.



O tym, jak żółw i królik zostali przyjaciółmi

Na pewnej leśnej polanie mieszkał królik o imieniu Tusia. Takie imię dała mu mamusia. Niedaleko polany, na skraju lasu był dom, w którym mieszkał Jaś. Jaś był przedszkolakiem, mieszkał z rodzicami w domu z ogrodem i warzywniakiem. W całym gospodarstwie nie było psa, za to stałym mieszkańcem był żółw Olek, bardzo z Jasiem zaprzyjaźniony. Nikt z mieszkańców nie podejrzewał, że do warzywniaka często zakrada się Tusia. Królik zrobił sobie podkop pod ogrodzeniem i kiedy nikogo nie było w pobliżu, przemykał do warzywniaka. Najchętniej odwiedzał grządkę z marchewkami. Kiedy pewnego razu chrupał sobie marchewkę, zobaczył dziwne zwierzę, podgryzające sałatę na sąsiedniej grządce. Oczywiście przestraszył się bardzo i natychmiast chciał uciekać, ale zwierzę, a był to żółw Olek, nie miał jednak złych zamiarów. On też po raz pierwszy zobaczył królika i ciekaw był go bliżej poznać. Widział już różne zwierzęta w telewizji, czasem oglądał ją z Jasiem, ale nigdy nie widział królika.

- A co to? - pierwszy odezwał się królik.

- Jestem żółwiem, a na imię mi Olek - odpowiedział spokojnie żółw.

- Amnie mamusia nazwała Tusia i jestem królikiem. Widzę, że lubisz sałatę, też ją lubię.

- Amnie czasem smakuje marchewka - przyznał się Olek.

- No to mamy wspólne zainteresowania - podsumował królik.

W tym momencie nadszedł tata Jasia. Tusia znikł w okamgnieniu, to znaczy uciekł znanym sobie podkopem. Ale teraz podziemne przejście znane było już tacie Jasia. Szybko znalazł starą piłkę, w której było jeszcze sporo powietrza i zatkał nią podkop. Nie zdziwiło go, że Olek spaceruje po grządkach, bo kiedy była ładna pogoda, żółw miał zwyczaj wybierać się do warzywniaka. Szczególnie, kiedy Jaś był w przedszkolu.

Teraz żółwiowi żal się zrobiło królika. Poczłapał do zatkanego podkopu, biorąc ze sobą znaleziony ostry kijek. Po kilku próbach udało mu się przedziurawić starą piłkę, z której zupełnie zeszło powietrze. No i w ten sposób droga do warzywniaka została dla królika otwarta. Następnego dnia Tusia bardzo bał się zbliżyć, ale w końcu podkraść się wieczorem i okazało się, że może przedostać się do ogródka! Ale czy to nie pułapka i nie czeka tam na niego tata Jasia? Zwyciężyła jednak ciekawość, czy spotka tam nowego przyjaciela. Przedostał się do warzywniaka, a Olek czekał na niego tuż przy podkopie. Powiedział, że mogą spotykać się przy płocie, a Tusia niech zrezygnuje z podkradania marchewek. Królik zgodził się z ochotą.

Grupa przedszkolna V

Miejskie Przedszkole nr 20 w Olsztynie, 2015 r.



Jak gołąb szukał swego imienia

Pewnego razu pewien listonosz, który miał na imię Jan, znalazł gołębia. Wiedział pan listonosz, że niektóre gołębie, zwane pocztowymi, dawniej też były listonoszami. Latały z listami nawet w bardzo odległe miejsca. Pan Jan umieścił znalezione gołębia na poddaszu poczty, przynosił ziarno, ale zapomniał dać mu imię. No i bezimienny gołąb bardzo cierpiał, gdyż miał już swoje lata, był samotny i nikt do tej pory nie dał mu imienia. Czasami latał na pobliską starówkę, ale nie udało mu się znaleźć nikogo bliskiego wśród ptasiego bractwa. Widocznie starym gołębiom pocztowym trudno znaleźć wspólny temat do rozmów z innymi gołębiami czy na przykład mewami. Bezimienny gołąb postanowił polecieć do Starej Brzozy, która umiała mówić ptasim językiem i udzielała rad tylko około północy, podczas pełni księżyca. Stara Brzoza powiedziała, że jest szansa na uzyskanie imienia, kiedy gołąb znajdzie przyjaciela. Po prostu - dzięki przyjaźni znajdzie swoje imię. Następnego dnia bezimienny gołąb znów przyleciał do podmiejskiego parku i w pewnej chwili zauważył dwa pisklaki wypadające z jaskółczego gniazda. Błyskawicznie podfrunął, chwycił małe ptaszki i umieścił z powrotem w gnieździe. Uratował je przed niechybną śmiercią, gdyż dziki kot już czekał na łatwą zdobycz. Jaskółcza mama o imieniu Klementynka właśnie wracała i widziała całe wydarzenie. Bardzo gorąco podziękowała gołębiowi, przedstawiła się i zaproponowała, żeby zostali przyjaciółmi. Wtedy gołąb ze smutkiem powiedział, że nie ma imienia. Klementynka na to, że powinien udać się do niedźwiedzia Borysa, który jest ojcem chrzestnym wielu, wielu zwierząt. Gołąb udał się do Borysa i ten dał mu imię Edmund, a dla bliskich będzie Edkiem. Ucieszył się gołąb Edmund, bo przecież tak już się nazywa, i pofrunął na poddasze poczty. Listonosz Jan właśnie przyniósł mu sporo ziarna i sypnął na podłogę. Gołąb szybko zaczął wydziobywać niektóre ziarenka. Pan Jan spojrzał i oczom nie wierzył! Na podłodze napisane było imię Edek. - No to będę ci mówił Edek - powiedział ciągle zdumiony. A wtedy Edek radośnie podskoczył i pomachał mu skrzydłem.

Uczniowie klasy III

Katolicka Szkoła Podstawowa im. Św. Rodziny w Olsztynie, 2014 r.



Gdzie jest kotlet?

W domu państwa Wesołowskich właśnie kończył się obiad. Tata z mamą gdzieś się spieszyli, poprosili swego syna Maćka, żeby koniecznie skończył jeść drugie danie, zanim pójdzie grać w piłkę. Kiedy wyszli, Maciek natychmiast ruszył do szafy, przebrał się i pobiegł na pobliskie boisko. Oprócz rodзинki państwa Wesołowskich domownikami były też zwierzęta - pies Wiesiek, kot Stefan i myszka Weronika. Wszyscy troje żyli w zgodzie, chociaż oczywiście czasem kłócili się o byle co. Może się wydawać dziwne, że kot z myszą żyje w zgodzie, a stało się to po tym, jak Weronika podrzucała jedzenie Stefanowi zamkniętemu za karę w komórce. A teraz właśnie wszyscy troje jednocześnie spojrzeli na talerz Maćka, gdyż został na nim prawie cały kotlet schabowy. Po krótkiej naradzie zwierzęta postanowiły schować go do szafy Maćka. No bo jak rodzice wrócą wcześniej, to Maciek dostanie karę za niezjedzony kotlet. A tak znajdzie go w szafie i wieczorem spokojnie sobie zje. Niestety stało się inaczej, niż przewidywali spiskowcy. Bo kiedy Maciek wrócił z boiska i miał się zabrać do odrabiania lekcji, mama powiedziała, żeby zmienił przepoconą koszulkę na świeżą. No i wydało się, bo ta niby świeża miała tłustą plamę. I mama znalazła w szafie winowajcę - obiadowy kotlet. Maciek natychmiast dostał karę w postaci tygodniowego zakazu gier komputerowych. Prawdziwi winowajcy, widząc, co się stało, postanowili zrobić coś, co wytłumaczy rodzicom Maćka prawdę. Ale co? No i wymyślili. Następnego dnia, gdy przyszła pora obiadu i rodzina zasiadła do stołu, nagle Stefan z Weroniką zaczęli tak szalony taniec, że nie wiadomo było, czy kot goni mysz, czy na odwrót. Zwróciło to uwagę wszystkich, a na to czekał pies Wiesiek, który podskoczył do stołu, chwycił zębami mielony z jednego z talerzy, popędził do pokoju i wrzucił do otwartej szafy. - Ach to tak! - krzyknęła mama. - To ten łobuz takie rzeczy robi, a ja nie uwierzyłam Maćkowi, że to nie on wrzucił kotlet do szafy. No i Wiesiek dostał karę - dwa dni w komórce. Na ścisłej diecie! A co wtedy zrobili pozostali spiskowcy? Oczywiście podrzucali mu po cichu coś do jedzenia, niekoniecznie kotlety. Wiadomo było, że zamiast je jeść, potrafi zanieść do szafy.

Uczniowie klasy V

Katolicka Szkoła Podstawowa im. Św. Rodziny w Olsztynie, 2014 r.



O tym, jak dziczek **Myczek** trenował **skok** wzwyż

Na skraju miasta, pod lasem był sobie dom z ogródkiem. W domu mieszkał Adaś, który miał dziewięć lat i chodził już do trzeciej klasy. Kiedy przyszła zima i spadł pierwszy śnieg, Adaś z tatą ulepili aż z pięciu śniegowych kul bałwanka i dali mu na imię Olaf. Bałwanek zamieszkał w ogródku i cieszył się piękną zimą. Patrzył na nią zielonymi oczami, zrobionymi z wielkich guzików starego płaszcza Adasia. Za kapelusz służył mu czerwony garnek, który pod wieczór stawał się szary. Pod szyją Adaś zawiązał mu niebieski szalik, a nosem była wielka marchewka. Swoje patykowate ręce z patyczkowatymi palcami, opierał na całkiem dużym brzuchu.

Pewnego dnia, kiedy zapadał zmrok, z pobliskiego lasu wybiegł dzik. Właściwie to był młody dziczek, na imię miał Myczek i był synem dzika Myka, co najszybciej po lesie pomyka. Myczek był sportowcem i marzył o mistrzostwie w biegu przez płotki albo na przykład w skoku wzwyż. Zobaczywszy płot otaczający ogródek, długo się nie zastanawiał i postanowił go przeskoczyć. Rozpędził się i przeskoczył ogrodzenie, zaliczając w ten sposób udany bieg przez płotek. A w ogródku zobaczył rzecz niezwykłą: oto rósł w nim dąb, a pod nim leżały żołędzie! Zjadł wszystkie, rozejrzał się i wtedy... dostrzegł Olafa. Ponieważ Myczek pierwszy raz w życiu zobaczył bałwana, postanowił dokładnie mu się przyjrzeć. Najbardziej zainteresował go nos Olafa, czyli wielka pomarańczowa marchew. Postanowił, że spróbuje ją dosięgnąć i oczywiście zjeść. Właśnie wtedy wyszedł z domu Adaś i zobaczył intruza w ogródku. Pomyślał, że to pies, chwycił kijek i rzucił daleko od bałwanka, krzyknąwszy: - Aport! Myczek usłyszał: sport, więc podskoczył wysoko, pewnie w ramach treningu skoku wzwyż. Chwycił kijek, a potem rozpędził się, przeskoczył płotek ogródka i znikł w lesie.

Wtedy Adaś usłyszał lekko ochrypły głos: - Dziękuję, uratowałeś mój nos. Zdumiał się chłopiec i zapytał: - To ty umiesz mówić? Na co Olaf odpowiedział: - A co, myślisz, że bałwany nie potrafią mówić? I nagle Adaś zobaczył, że bałwanek unosi swoje patykowate ręce. Podeszedł do niego i wtedy... serdecznie uściśli się.

Grupa przedszkolna sześciolatków

Niepubliczne Przedszkole im. Św. Rodziny w Olsztynie, 2014 r.



O tym, jak Rolka w portkach trafiła do szewca Macieja

Była sobie małpa o imieniu Rolka. Przez długi czas występowała w cyrku, ale miała już dość tresury i słuchania rozkazów, więc postanowiła uciec. Pewnego dnia jej się to udało i powędrowała w góry, gdzieś pod Zakopanem. Wspięła się na wysoki szczyt, by rozejrzeć się po okolicy, jednak przy okazji zmarzła i bała się, że umrze z zimna. Wtedy spotkała prawdziwego górala, pozdrowiła go i powiedziała: - Ziiiiimno mi. Góral trochę się zdziwił, że małpa mówi, ale pełen współczucia podarował jej portki w kratę, na szelkach. A Rolka potrafiła coś powiedzieć dzięki swojej przyjaźni z cyrkową papugą Powtórka.

Nalozyszy portki w kratę, małpa powędrowała dalej, nie wiedząc, że dyrektor cyrku rozesłał za nią list gończy z obietnicą nagrody 1500 złotych. Spotkała jeża Sama, od razu się polubili i jeź zaproponował jej schronienie w dużej jamie na leśnej polanie. Rolka z radością przyjęła to zaproszenie. A list przeczytał szewc Maciej, który akurat wybrał się na spacer ze swoim owczarkiem niemieckim, Diną. Postanowił rozejrzeć się, czy przypadkiem nie trafi na małpę uciekinierkę, ponieważ ludziom nie psuły się ostatnio buty i Maciej klepał biedę. No i ujrzał Rolkę pomiędzy pobliskimi drzewami. Ruszył w jej stronę, a przed nim popędziła Dina. Wtedy zupełnie niespodziewanie jeź Sam rzucił się pod łapy Diny i szewc Maciej musiał zająć się wyjmowaniem kolców, zamiast ścigać małpę uciekinierkę.

Następnego dnia Maciej wyruszył na leśną polanę, ale nie w celu otrzymania nagrody za złapanie małpy. Pomyślał, że może być głodna i niósł jej pęk bananów. A tu Rolka z Samem i zaprzyjaźnionym z nim psem Reksem przygotowali zasadzkę. Kiedy Maciej zbliżał się do polany, nagle wpadł w dół zamaskowany gałazkami. Zaczął przeklinać, oczywiście jak szewc, co usłyszała Rolka i z wrażenia pękła jej szelka, a portki w kratę o mało nie opadły. Maciej wyraził wielki żal za takie potraktowanie, bo chciał przyjąć małpę do siebie. Wtedy doszło do wielkiego porozumienia i wszyscy udali się do gospodarstwa szewca. Reks natychmiast zaprzyjaźnił się z Diną, a Maciej wybrał się do dyrektora cyrku w celu wykupienia Rolki za symboliczną złotówkę. Dyrektor chciał 1500 złotych, w końcu zgodził się na stówkę. No i małpa zadomowiła się w gospodarstwie Macieja, który rozpoczął produkcję tramppek dla dzieci. Sam użyczał swoich igieł, a Rolka zauważyła, że jej szybko rosnąca sierść świetnie nadaje się na mięciutkie wkładki. Trampki stały się hitem na rynku i dzieciaki zamiast adidasów wołały „maciejasy”. Sprzedaż przyniosła wielki dochód, więc Maciej wyremontował dom i postanowił znaleźć żonę. A w podróż poślubną wybrać się do Afryki, może tam znajdzie się jakiś partner dla Rolki?

Uczniowie SP nr 6, klasa III d

Miejska Biblioteka Publiczna w Szczytnie, 2015 r.



Jak myszka **Lorka** narobiła **bigosu**

W pewnym starym domu, a właściwie był to zamek, mieszkała myszka o imieniu Lorka. Mieszkała sobie z rodzicami w piwnicznej norcie, lubiła bawić się ze swymi rówieśnikami, ale nikt nawet nie domyślał się, gdzie Lorka lubi spędzać noce. A ona często wpadała do zamkowej... biblioteki. I to nie tylko, żeby sobie pobiegać; odwiedzała bibliotekę po to, by sobie poczytać. W bibliotece było dużo starych książek, a w nich mnóstwo historii wartych przeczytania. No i Lorka najpierw te książki przeglądała, zwracała uwagę na obrazki, a potem nauczyła się czytać. W zamkowej bibliotece poznała Fredka, mierzącego łokieć (sam powiedział, że jednym łokciem można go zmierzyć). Fredek był duszkiem, bardzo wiekowym, z wielką siwą czupryną i brodą, no i wielkimi okularami na nosie. Często polecał Lorce jakąś książkę i pomagał po nią sięgnąć. Lorka miała jeszcze jedną tajemnicę. Oto w pobliżu starego zamku był sklep spożywczy. Można było się do niego dostać nocą dzięki niewielkiej szparze w murze. No i wynieść kawałek sera albo czekoladowego batonika dla Fredka. Bo biblioteczny duszek uwielbiał batoniki. Pewnego razu Lorka, jedząc żółty ser, czytała starą historyczną książkę i... kawałek sera spadł na jej stronicę. Myszka szybko go zdjęła, ale niestety po serze została tłusta plama. - Ale narobiłaś bigosu - powiedział Fred, zobaczywszy, co się stało.

Lorka, wiele się nie namyślając, popędziła do sklepu po... chusteczki kosmetyczne. Na pewno uda się nimi usunąć plamę. Kiedy była już w sklepie i zmierzała z chusteczkami do znajomej szparki w murze, zastała ją zastawioną jakimś wielkim pudłem! A przesunął je tam nocny stróż, który robił obchód sklepu. Jak Lorka ma się wydostać? Znalazła sposób! Przedostała się szparą pod drzwiami do pomieszczenia na zapleczu, gdzie znalazła panel sterowania urządzeniami elektrycznymi i włączyła „na maksa” ogrzewanie. Nie minęło dużo czasu i pan stróż postanowił zmniejszyć ogrzewanie, ale zapomniał klucza do pomieszczenia na zapleczu. Otworzył więc okno i Lorka miała wolną drogę. Kiedy biegła z kosmetycznymi chusteczkami w stronę zamku, drogę zagroził jej wstrętny kot. - No, teraz cię zjem - powiedział. - Smaczniejsze jedzenie znajdziesz w spożywczym sklepie, okno do niego jest otwarte - myszka na to. Wstrętny kot natychmiast popędził do sklepu, a Lorka bezpiecznie dotarła do biblioteki i usunęła plamę ze stronicy starej książki. Pochwalił to Fredek, który bardzo obawiał się o los książki, ale oczywiście też o los myszki Lorki. Byli przyjaciółmi i Fredkowi bardzo dłużył się czas oczekiwania na powrót myszki z wyprawy do sklepu. Tym bardziej że tym razem nie wybrała się przecież po smakołyki.

Uczniowie SP nr 1, klasa II a

Miejska Biblioteka Publiczna w Kętrzynie, 2014 r.



Pewnego razu sarenka Calinka biegła sobie po lesie. Bardzo lubiła odwiedzać wielką słoneczną polanę nad rzeczką. Oczywiście tym razem też ją odwiedziła. No i stało się nieszczęście, bo Calinka pośliznęła się na skórcie od banana i zwichnęła nóżkę. Takich skórek, puszek po napojach i innych śmieci było na polanie tego dnia pełno. Zostawili je obozowicze, straszni bałaganiarze, którzy bawili się tutaj poprzedniego dnia. Śpiewali piosenki przy ognisku, próbowali łowić ryby w rzece i wieczorem w dobrych nastrojach wrócili do swoich domów. Ale zapomnieli po sobie posprzątać, byli strasznymi bałaganiarzami!

Calinka wołała po pomoc, jednak nikt jej nie słyszał. Była godzina dwunasta w południe, słońce mocno przygrzewało, więc o tej porze większość zwierząt ucina sobie drzemkę. Na szczęście niedaleko polany przechodziła ciocia Calinki, która miała na imię Gosia. Usłyszała wołanie i natychmiast przybiegła. Kiedy zobaczyła, co się stało, zadzwoniła do dyżurnego lekarza w leśnym pogotowiu, niedźwiedzia Kuby. Niestety pan doktor Kuba odpowiedział, że jest daleko od polany, gdyż właśnie ze swoim asystentem, jeżem Janem, opatrują raną wiewiórkę. Wpadła w pułapkę kłusownika i rana była dość poważna.

Nóżka Calinki zdążyła już porządnie spuchnąć i bolała coraz bardziej i bardziej. I wtedy na polanę wbiegła Agatka, dziewczynka, która wybrała się z mamą na spacer do lasu. Powiedziała głośno, że bardzo lubi leśne zwierzęta i nic złego sarnom nie zrobi. Właściwie to nie musiała tego mówić, gdyż w żadnym wypadku nie wyglądała na taką dziewczynkę, która nie lubi zwierząt. Zresztą, czy są dzieci nie lubiące zwierząt? Agatka natychmiast zorientowała się, że trzeba pomóc małej sarence. Zawołała mamę, a mama zadzwoniła po pana weterynarza. Przybył bardzo szybko i opatrzył nóżkę sarenki. Calinka mogła ze swoją ciocią powędrować do mamy i taty.

Tego samego dnia na polanę przyszła grupa dzieci. Kiedy zobaczyły mnóstwo śmieci, natychmiast zabrały się za sprzątanie. Przecież w lesie nie można tak śmiecić. To jest niedopuszczalne! Wszystkie papierzyska, puszki, resztki owoców, w tym skórki od bananów, wrzuciły do wielkiego worka i wyniosły z lasu na śmietnisko. A na polanie zostawiły ostrzegawczą tabliczkę z napisem „Dorośli i dzieci! Kto tu naśmieci, ten z lasu wyleci!”.

Grupa przedszkolna IV

Przedszkole Miejskie nr 38 w Olsztynie, 2014 r.



Niesamowita historia jednego kichnięcia

Zdarzyło się to całkiem niedawno pod wawelskim wzgórzem. Dokładnie pod Wawelem mieszkał kret Bob ze swoją rodziną. Oczywiście mieszkało tam więcej kretów, ponieważ krety lubią życie rodzinne i lubią odwiedzać swoich sąsiadów. Te podwawelskie krety miały szczególną właściwość, one całkiem nieźle widziały, co się przecież często nie zdarza. Bob wyróżniał się jeszcze dodatkowo tym, że szczególnie często zdarzały mu się nieprzyjemne przygody. Po prostu był Bobem pechowcem. I tak, kiedy wszystkie podwawelskie krety jednocześnie rzuciły się do ucieczki - bo ziemia się zatrzęsała, a trzęsienie ziemi, to najgorsze, co może krety spotkać - Bob drzemał sobie właśnie, a tu uciekający w panice koledzy potrącili go, przewrócili i jeszcze nakrzyczeli, że tarasuje drogę. Rozeźliło to Boba i głośno krzyczał w kierunku uciekających.

- Jesteście glistowatymi nieudacznikami! Wy, wy... krótkonogie pleśniaki! Jesteście beznadziejni i znowu będziecie mieli do mnie o coś pretensje.

Bob został sam i nie mógł znaleźć drogi do rodzinnego domu, gdyż niektóre korytarze zostały zasypane. Nagle poczuł przyjemny zapach zapiekanki i natychmiast podążył w tym kierunku. Korytarz doprowadził go do wielkiej pieczary, w której piekł sobie zapiekankę na wolnym ogniu... prawdziwy smok! Przed chwilą kichnął sobie mocno z powodu pieprzu, bo posypywał nim swoją zapiekankę. Zdaje się, że to było przyczyną niewielkiego „trzęsienia ziemi”, które wystraszyło podwawelskie krety. Bob nie przestraszył się, chyba dlatego że smok zaprosił go przyjaznym gestem do wspólnego posiłku. Zaproponował kawałek pysznej zapiekanki z pieczarkami.

- W mojej pieczarze zapraszam na zapiekankę z pieczarkami - powiedział. - A jak się posilisz, poszukamy twoich rodziców. Zdaje się, że chciałbyś już być z nimi.

- Tak, tak - zgodził się Bob. - Na pewno mi nie uwierzą, że ciebie spotkałem. A jak mnie odprowadzisz, to uwierzą.

I tak się stało. Smok pomógł kretowi odnaleźć rodziców. Kiedy ci zobaczyli Boba razem ze strasznym smokiem, natychmiast uciekli. A przecież sami straszili Boba smokiem. Trzeba było długo ich wołać i przekonywać, że krzywda im się nie stanie i smok wcale nie ma zamiaru zionąć ogniem, jak to ludzie mówią. Na ogniu on piecze tylko zapiekanki. W końcu rodzice wrócili, a smok powiedział, że przy najbliższej okazji zaprosi ich na lody do kawiarni, bo dobrze jest czasem schłodzić gardło. Rodzice przyjęli zaproszenie, a przy pożegnaniu zapytali smoka o imię.

- Nazywam się Małgorzata - odpowiedział.

Bob nigdy nie zapomni wielce zdziwionych min swoich rodziców.

Uczniowie SP nr 1, klasa V b Miejska Biblioteka Publiczna w Lidzbarku Warmińskim, 2014 r.



Jak szara bluzka stała się Szczęściarą

W pewnym sklepie wisiała sobie na wieszaku bardzo smutna bluzka. Ten sklep nazywał się Kupciuszek i nie należało mylić go z Kopciuszkiem. Były w nim same markowe i drogie ciuszki i należał do popularnej sieci *second hand*. Bluzka, która wisiała w dalekim kącie, rzeczywiście miała powód do smutku. Nie dość, że żyła sobie z oderwaną metką dobrej firmy, to na dodatek była szara i miała niemodny krój. Czarę goryczy przepełniał fakt, że ekspedientka nie zauważyła jej jakości. Przecież jest uszyta z najprawdziwszego jedwabiu. Smutno, bardzo smutno było bluzce i czasami płakała cekinowymi łzami.

Był to czas wiosny, zbliżających się wakacji i właśnie miał odbyć się bal szóstoklasistów. Tomek i jego sympatia Ewa postanowili zajrzeć do Kupciuszka, aby wybrać dla Ewy bluzkę specjalnie na bal. Kiedy weszli do sklepu, szara bluzka pomyślała, że pasowałaby na tę dziewczynę jak ulał, ale jak zwykle pozostanie niezauważona. No i niespodzianka, bo Tomek wypatrzył ją na końcu wieszaka, podszedł, dotknął i poprosił Ewę, by przymierzyła. Ale ona nie chciała, mówiąc, że bluzka jest za szara, za długa i na dodatek niemodna. Wtedy Tomek powiedział, że jest z jedwabiu, a ten kolor to przecież srebrny z szarą patynką i będzie pasował do pięknych, szarych oczu Ewy. Kiedy przymierzyła, okazało się, że rzeczywiście bluzka pasowała jak ulał. - Wyglądasz w niej pięknie - westchnął Tomek. Ale wtedy nadeszła ekspedientka i powiedziała, że tę bluzkę właśnie miała wynieść na zaplecze, gdyż jest z poliestru, nie ma firmowej metki i nic nie kosztuje. Tomek powiedział, że jeśli nic nie kosztuje, to dlaczego ma być wyrzucona na śmietnik. Nazwał ekspedientkę Niemiłą, ale to jej nie wzruszyło i zapakowała szarą bluzkę do śmietnikowego kartonu. Szara bluzka wypłakała ostatnie cekiny i stała się „bezcekinowa”, nie wiedząc, że dla Tomka była bezcenna. Następnego dnia przyszedł do Kupciuszka ze swoim kolegą Rafałem. Ten zaczął opowiadać ekspedientce Niemiłej jakieś dowcipy, a w tym czasie Tomek wpadł na zaplecze, otworzył karton i wyciągnął szarą bluzkę. Podszedł do pani Niemiłej, pokazał, że ją ma i powiedział: - Moja sympatia bardzo się ucieszy, że włoży na bal bezcenną bluzkę. Chłopcy spokojnie ruszyli do wyjścia, zostawiając panią Niemiłą z niemym wyrazem twarzy. A Ewa dostała szarą bluzkę przed samym wyjściem na bal. - Wiesz, nazwę cię Szczęściarą - powiedziała.

Uczniowie SP z klas szóstych

Miejska Biblioteka Publiczna w Olsztynku, 2014 r.

O tym, jak **lis Rudolf** stał się **detektywem**

Gminna Biblioteka Publiczna w Dźwierzutach, 2014 r.



Pianino Nino



Antoś nie skończył jeszcze siedmiu lat, a już zaczął uczyć się grać na pianinie. Pewnie dlatego, że w dużym pokoju stało pianino, które zostało w spadku po dziadku taty, Władysławie. Tata mówił o nim dziadek Władek i Antoś dużo nasłuchiwał się od taty o różnych jego umiejętnościach. Między innymi dziadek Władek potrafił grać na pianinie i robił to chętnie podczas rodzinnych uroczystości. Ani tata, ani mama Antosia nie mieli ochoty grać na pianinie, ale za to Antoś tak. Zaczął ćwiczyć, mając sześć lat. Poznał nuty i umiał zagrać *Włazł kotek na płotek*. Do domu Antosia często przychodziła zaprzyjaźniona z mamą pani Gabrysia. Mówiła do mamy: - Olu, on ma talent, będę udzielać mu lekcji. Pani Gabrysia była wychowawczynią Antosia w przedszkolu i potrafiła pięknie grać na pianinie. Pianino miało na imię Nino, bo tak nazwał je Antoś.

Pewnego razu chłopiec usiadł do pianina. Naciskał na klawisze... ale prawie nie było słychać dźwięków. Pomyślał, że Nino chyba chwilowo zasłabło albo on sam za słabo naciska klawisze. Zaczął więc mocniej uderzać palcami w klawiaturę, niestety pianino nie grało głośniej, a na dodatek zaczęło dziwnie pojękiwać i skrzypieć. - Nino się rozchorowało! - krzyknął Antoś. Mama przypomniała, jak to koledzy Antosia przychodzili i bez pytania na nim grali, to znaczy brzdąkali. Przyjrzała się klawiszom i spostrzegła, że niektóre są nieco porozklejane. - Trzeba zadzwonić do pana Aleksa - powiedziała. - Jest stroicielem fortepianów.

Następnego dnia przybył pan Aleks i obejrzał pianino. Antoś przyglądał się w tym czasie stroicielowi, który był bardzo podobny do filmowego Pana Kleksa, a na dodatek przyszedł z trąbką. Była to trąbka do słuchania, a nie do grania. Pan Aleks przyłożył ją do ucha i nacisnął klawisze. Słysząc było cichutkie dźwięki i bolesne pojękiwanie.

- No tak - westchnął w podobnym tonie pan Aleks. - Słyszycie, jak dusza jęczy z bólu?

Pan Aleks powiedział, że spróbuje naprawić, uzdrowić i nastroić pianino Nino. Musi być jednak spełniony pewien warunek: wszyscy domownicy wyjadą na weekend, a on wtedy weźmie się do pracy. Poza tym będzie zawsze przestrzegany zakaz podchodzenia do pianina komu się tylko spodoba i uderzania w klawisze.

No i nadszedł niedzielny wieczór, kiedy po powrocie z rodzinnego wyjazdu Antoś mógł podejść do pianina, uderzyć lekko w klawisze i wszyscy usłyszeli pięknie brzmiące dźwięki. Nie było już słychać skrzypienia ani pojękiwania. Kiedy cała rodzinka usiadła do kolacji, nagle pianino zagrało! I to melodię piosenki *Książki, książki*, którą grała na nim pani Gabrysia.

- Chyba rację miał pan Aleks - powiedziała mama. - Pianino Nino ma duszę.

Grupa z Przedszkola nr 4

Miejska Biblioteka Publiczna w Działdowie, 2014 r.



O klaunie, który stanął na jednej nodze, i o tym, jak to się skończyło

W pewnym cyrku występował ulubieniec publiczności, klaun Pączek. Nie wiadomo, czy to było jego prawdziwe nazwisko, czy tylko pseudonim. Chyba Pączkiem został nazwany z powodu dużego brzucha, który urósł mu dość niedawno. Poza tym uwielbiał wpadać do cukierni pana Rogalika, kupować całe torby pączków. Bo klaun Pączek uwielbiał pączki. Występując na cyrkowej arenie, opowiadał wesołe historie, żonglował kręglami albo robił akrobatyczne figury, stojąc na jednej nodze i udając czaplę. Ten brzuch zaczął mu od jakiegoś czasu przeszkadzać, bo źle mu się żonglowało i coraz trudniej było robić akrobatyczne figury, stojąc na jednej nodze. No i pewnego razu stało się nieszczęście, bo klaun Pączek stojąc na jednej nodze, przewrócił się. A tę nogę sobie skrzył. Dzieci na widowni najpierw bardzo się śmiały, ale przestały, kiedy okazało się, że klaun Pączek nie może zejść z cyrkowej areny o własnych siłach. Przecież z przewracania się niekoniecznie trzeba się śmiać, a tym bardziej, kiedy ktoś się przewróci nieszczęśliwie.

Klaun Pączek przewrócił się prawdopodobnie z powodu swego zbyt wielkiego brzucha i sam postanowił temu zaradzić. Nie chciał, żeby to się powtórzyło, a poza tym rzeczywiście ten brzuch bardzo mu już przeszkadzał. Udał się więc do pana Rogalika i powiedział, że chociaż jego pączki bardzo mu smakują, to nie może ich więcej jeść, bo nie chce mieć takiego wielkiego brzucha. Dlatego prosi pana Rogalika, żeby w cukierni wydany został zakaz sprzedawania mu pączków. Jak przyjdzie i poprosi o pączki, to sprzedawca ma powiedzieć, że przecież sam prosił, żeby mu nie sprzedawać i pod żadnym pozorem pączków nie dostanie. Klaun Pączek ogłosił, że gdyby prosił kogokolwiek o kupno dla niego pączków, to nikt nie powinien się na to godzić. Bo on walczy ze swoim brzuchem i od tej pory pączków nie je i nie chce jeść!

Przejsie na dietę pomogło klaunowi Pączkowi w powrocie na cyrkową arenę. Właściwie to on nie powinien się już nazywać Pączek. Pewnie niedługo widownia wymyśli dla niego nowy pseudonim. Brzuch mu spadł i poruszał się dużo żwawiej. Tak jak dawniej opowiadał śmieszne historie i rozbawiał nimi publiczność. Przestał jednak pokazywać akrobatyczne sztuczki i żonglować kręglami. Pomyślał, no i zgodziła się z nim dykcja cyrku, że będzie bawił publiczność tylko słowem. Nie jest przecież akrobatą, nie musi też udawać czapli, więc niech opowiadane przez niego historyjki zaciekawią i rozbawiają publiczność. Klaun Pączek, ciągle jeszcze nie ma nowego pseudonimu, stał się takim trochę nietypowym klaunem. Spróbował z poważną miną opowiadać śmieszne historie. I okazało się, że w ten sposób też można wspaniale rozbawić publiczność. A może ktoś ma pomysł na nowy pseudonim odmienionego klauna Pączka?

Grupa z Przedszkola nr 1 w Działdowie

Miejska Biblioteka Publiczna w Działdowie, 2014 r.



Magiczny sen Loli

Niedaleko dużego miasta, na osiedlu znajdującym się obok jeziora i lasu mieszkali bliźniaczki. Nazywały się Lola i Kasia. Obie dziewczynki były blondynkami, ale Kasia wśród jasnych włosów miała rude pasemko. Tym się różniły. Była jeszcze jedna różnica – Lola miała kota Pimpę, Kasia nie miała żadnego zwierzątka, bo wszystkie bały się kota siostry. Dziewczynka była z tego powodu bardzo nieszczęśliwa i marzyła o małym piesku.

Bliźniaczki wiosną kończyły siedem lat i mama zrobiła im wielki czekoladowy tort z bitą śmietaną i truskawkami oraz niespodziankę. Podarowała im dwie grządki w ogródku. Mogły tam posadzić, co chciały.

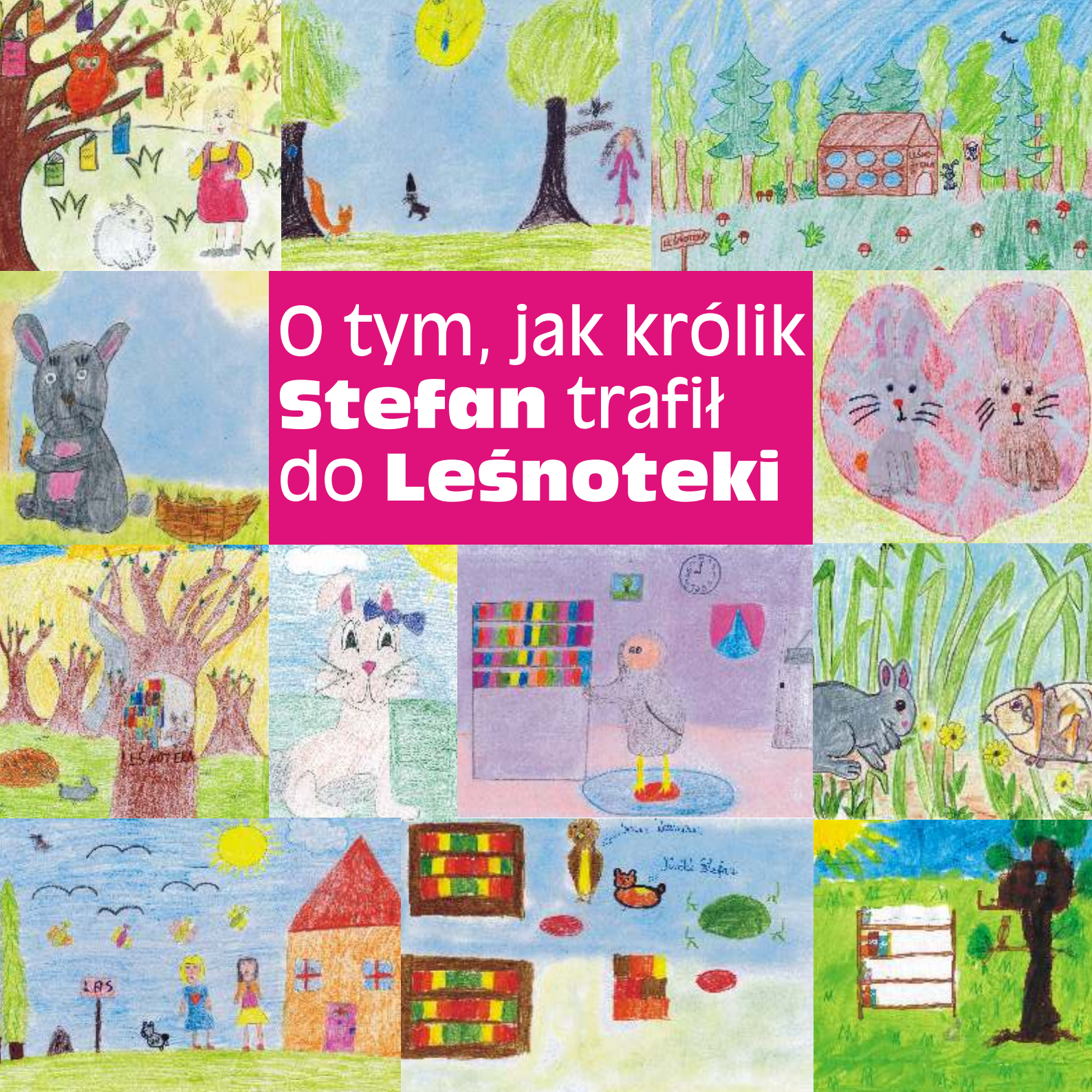
Lola szybko zasadziła kwiatki, zasiała nasionka marchewki i kocią trawkę dla swojej Pimpy. Siostrzyczka długo się zastanawiała i nic nie posadziła z wyjątkiem jednego krzaczka agrestu. Kiedy mama to zobaczyła, zmartwiła się, bo pomyślała o życzeniach dla córek, gdyż grządka Kasi miała wywróżyć jej pieska, a tu tylko posadzony jeden krzaczek owocowy.

Po pracowitym dniu bliźniaczki poszły spać.

W nocy Lola się obudziła, wyjrzała przez okno i zobaczyła, że na jej grządce wyrosły ogromne, kolorowe kwiaty, z których wyfrunęły biedronki, pszczoły i świetliki. Wszystkie ją wołały, by poszła za nimi nad jezioro. Lola trochę się zdziwiła, że rozumie owady, ale szybko spełniła ich prośbę i pobiegła prowadzona światłkami świetlików. Nad jeziorem zobaczyła małego łaciato-tęczowego pieska. Zwierzak prosił ją, aby zabrała go do domu. Wzięła Łatkę na ręce, a tu nagle zaczął ptaszek i... obudziła się. Usłyszała szczekanie. Wyjrzała przez okno, a to mały biały piesek w brązowe łatki czekał radośnie w ogródku. Lola szybko zbudziła siostrę i pobiegły razem na dwór. Tam zobaczyły, że piesek bawi się z kotkiem Pimpą. Och, jak dobrze, że się polubili, teraz i Kasia będzie miała swojego zwierzaka.

Emilka Bolińska z babcią

Olsztyn, 2015 r.



O tym, jak królik Stefan trafił do Leśnoteki

Królik Stefan mieszkał sobie w domu u Asi. Dziewczynka w pokoju zbudowała mu, z pomocą taty, płotek z desek i w ten sposób Stefan mieszkał w królikowym pokoiku. Ten pokoik był bez sufitu, a ściany miał w kolorze zielonym. Królik Stefan, nie wiadomo dlaczego, miał krótkie uszy, ale jakoś mu to w niczym nie przeszkadzało. Lubił wychodzić z Asią na spacer do parku, a pewnego razu dotarli aż pod podmiejski las. Stefan spotkał tam świnkęorską, która buszowała w trawie w poszukiwaniu mleczu. Jej opiekunka rozmawiała sobie z Asią. Stefan pozdrowił świnkę, też miała krótkie uszy, a potem wbiegł do lasu. No i, jak to często bywa, zwyczajnie się zgubił. Kiedy szukał powrotnej drogi przebiegające zajęce pokpiwały z jego krótkich uszu. Biegł dalej, ale drogi do Asi nie znalazł, a na dodatek wydawało mu się, że wszystkie napotkane zwierzęta śmieją się z jego krótkich uszu. Aż trafił na niedużą polanę, otoczoną ścianą gęsto rosnących drzew. Niewysoko, na gałęzi siedziała sobie sowa i przyglądała mu się uważnie.

- Jestem sowa Rozmowa - przedstawiła się. - Nazywają mnie tak, gdyż lubię porozmawiać. Czy odwiedziłeś Leśnotekę, ponieważ szukasz jakiejś książki?

- Mam na imię Stefan. Książki? - zdziwił się. - Tutaj są książki?

- Ależ tak, trafiłeś do leśnej biblioteki. Kto ma ochotę poczytać, wpada tutaj wypożyczyć książkę.

- Chętnie tu będę wpadał - oświadczył Stefan. - Ale na razie to chciałbym cię prosić o radę. Co mam zrobić, żeby nikt się nie śmiał z moich krótkich uszu?

Sowa Rozmowa odpowiedziała, że musi przestudiować ten temat w książkach o tolerancji i odpowie jutro. Następnego dnia Rozmowa oznajmiła królikowi, że krótkie uszy to raczej powód do dumy. Bo jest się wyjątkowym! Te słowa bardzo ucieszyły Stefana. Pobiegł pohasać sobie po lesie, a tymczasem do Leśnoteki trafiła Asia. Zobaczyła sowę i głośno zapytała, czy ona nie widziała przypadkiem królika z krótkimi uszami. Jakież było jej zdziwienie, kiedy sowa odpowiedziała, że widziała. Asia zrozumiała zwierzęcą mowę! Zaraz Rozmowa wyjaśniła Asi, że w Leśnotecze ludzie rozumieją mowę zwierząt, ale nie może o tym nikomu powiedzieć, gdyż zaraz zjechałyby się tu wszystkie telewizje świata. A Stefan będzie na nią tutaj czekał następnego dnia w południe. Ale następnego dnia królik zagubił się pośród drzew. Drogę do Leśnoteki pomogła odnaleźć mu wiewiórka Rudka, wciągając go na drzewo, żeby mógł zobaczyć, gdzie jest. Pobiegł Stefan do Asi. Oboje bardzo cieszyli się ze spotkania. Asia powiedziała Stefanowi, że ma dla niego niespodziankę. Ta niespodzianka ma na imię Sznurówka. Nie będzie już samotny w swoim pokoiku, a króliczka na pewno szybko się do niego przywiąże. Przecież nazywa się Sznurówka.

Uczniowie SP nr 6 w Szczytnie

Miejska Biblioteka Publiczna w Szczytnie, 2014 r.



Koniec



Zdjęcia wykonane podczas spotkania warsztatowego w Miejskiej Bibliotece Publicznej w Lidzbarku Warmińskim.
Fot. Barbara Warcaba

Serdecznie dziękujemy za otwartość i pomoc wszystkim osobom zaangażowanym w realizację projektu „I ty możesz zostać bajkopisarzem”. Przedsięwzięcie zostało zrealizowane dzięki współpracy z bibliotekami, szkołami i przedszkolami z terenu Warmii i Mazur, za którą składamy serdeczne podziękowania. Projekt obejmował warsztaty twórcze, wydanie niniejszej książki, a także spotkania z autorami, czyli uczestnikami warsztatów, połączone z inscenizacją ich bajek.

Aleksandra Lemańska i Marek Samselski



Spis treści:

Po co nam bajki?.....4

Samotna kotka Anastazja.....8

Słodki świat Mufinków.....10

Jak śmiech pokonał wojowników Dekłów.....12

O tym, jak wielki Bakar zaprzyjaźnił się z małą Łatką.....14

Kotek Psotek i zaginiony złoty klucz.....16

Tomek i magiczny kamień.....18

Ludek i śmiech, oraz mały pech.....20

Zizzi, zaginiony stworek.....22

O tym, jak żółw i królik zostali przyjaciółmi.....24

Jak gołąb szukał swego imienia.....26

Gdzie jest kotlet?.....28

O tym, jak dziczek Myczek trenował skok wzwyż.....30

O tym, jak Rolka w portkach trafiła do szewca Macieja.....32

Jak myszka Lorka narobiła bigosu.....34

Sarenka Calinka i bałaganiarze.....36

Niesamowita historia jednego kichnięcia.....38

Jak szara bluzka stała się Szczęściarą.....40

O tym, jak lis Rudolf stał się detektywem.....42

Pianino Nino.....44

O klaunie, który stanął na jednej nodze, i o tym, jak to się skończyło.....46

Magiczny sen Loli.....48

O tym, jak królik Stefan trafił do Leśnoteki.....50

Koordynator projektu:
Anna Szok

Projekt graficzny:
Iwona Bolińska-Walendzik

Korekta:
Sylwia Białecka

Druk:
Zakład Poligraficzny Niestępscy sp. j.
e-mail: drukarniajn@drukarniajn.pl



ISBN 978-83-932540-2-6

Sfinansowano ze środków
Samorządu Województwa Warmińsko-Mazurskiego

